

## Szkic do autobiografii

Każda autobiografia to stek bzdur i kłamstw, spoza których czasami nieśmiało wyziera naga prawda.

Każdy piszący autobiografię chce poprzez nią zrealizować przede wszystkim jeden podstawowy cel: udowodnić czytelnikowi w sposób w miarę subtelny, iż nie jest on, autor, naprawdę takim wielkim sukinsynem, jakim chcieliby go widzieć jego wrogowie!

Takiż cel kazał i mnie zasiąść pewnego dnia nad maszyną do pisania i wystukać pospiesznie powyższy tytuł, "Szkic do autobiografii". Co pociągnęło za sobą następne zdania...

Urodzono mnie. Powtarzam, urodzono mnie! Tego a tego dnia, miesiąca, takiego a takiego roku. Zrobiono to bez mojej wiedzy. Nie miałem na ten fakt żadnego wpływu. Urodzono mnie, nie pytając o zgodę, nie zastanawiając się zupełnie, czy pragnę tego czy nie, czy pragnąłbym. A później było już za późno na cokolwiek.

Jeśli idzie o najszcześniejszy dzień w moim dotychczasowym życiu, to po wielu latach przemyśleń i dociekań, a także spekulacji umysłowych na ten temat, oświadczam z całą odpowiedzialnością za słowa: Najszcześniejszym dniem mojego życia był każdy dzień poprzedzający datę moich urodzin! Każdy. Następne szczęśliwe dni to będą te po mojej śmierci.

Często byłem samotny. Zawsze byłem samotny. Wciąż jestem samotny. Będę samotny, mam nadzieję.

Uczyłem się języka polskiego, angielskiego, niemieckiego, włoskiego, hiszpańskiego, hebrajskiego, rosyjskiego. Żadnego do dzisiaj nie opanowałem w stopniu dostatecznym. I nie zanosi się na to, że opanuję. Studiowałem francuski, czeski i narzecze plemienia środkowoafrykańskiego Dru - Gru. Z takim samym rezultatem. Ale nie opuszczam rąk. Uczyłem się łaciny.

Pomiędzy czternastym a dwudziestym rokiem życia byłem wielokrotnie podrywany przez pederastów. Nie dałem się uwieść ani razu.

W siedemnastym roku życia nasiusiałem do piwa w dworcowym bufecie czterdziestoletniemu homoseksualiście, kiedy wyszedł na chwilę do toalety. Potem patrzyłem z uczuciem złośliwej satysfakcji, jak gość pił to swoje piwo rozcieńczone moimi siuškami. Patrzyli na to moi koledzy, zaśmiewając się do rozpuku.

Miałem osiem albo dziewięć lat, kiedy po raz pierwszy zamknięto mnie w milicyjnym areszcie. Siedziałem tam kilka godzin z prawdziwym przestępcą. Byłem niewinnie posądzony o wybicie jakiejś wielkiej szyby. Potem siedziałem po różnych aresztach jeszcze wielokrotnie, i trochę dłużej.

Poznałem kilku sierżantów milicji. Poznałem kilku oficerów Służby Bezpieczeństwa. Rozmawialiśmy krócej lub dłużej na różne tematy. Przeważnie mieliśmy poglądy całkowicie rozbieżne. W jednym natomiast punkcie zgadzaliśmy się zawsze i całkowicie. Mianowicie w tym, że milicja i Służba Bezpieczeństwa jest niezbędna w każdym jako tako rozwiniętym społeczeństwie, niezależnie od ustroju. Później, kiedy przechodziliśmy do omawiania metod ich pracy, nasza duchowa i krótka więź urywała się całkowicie. Zapadało przeważnie milczenie.

Poznałem kilka kobiet. Później ich liczba wzrosła do kilkunastu. Potem było ich już w sumie kilkadziesiąt. Ale chyba nie przekroczyłem dotąd setki. Każda z nich wydawała się na początku znajomości zupełnie inna od poprzedniej. Później okazywało się nieodmiennie, że i ta następna wcale nie odbiega od normy. Chciały, abym był zawsze zupełnie trzeźwy, natomiast w łóżku zachowywał się jak pijany żołdak.

Mówiły górnolotne bzdury głosem pełnym pretensji. Oczy błyszczały im prawdziwym uniesieniem dopiero wtedy, kiedy otrzymywały prezenty. Słowo "kocham" wymawiały znudzonym, monotonnym głosem, jak na odczepkę. Wszystkie miały humory.

Raz jedyny poznałem dziewczynę, w której zakochałem się bez pamięci, jedyny raz w życiu. Była zupełnie wyjątkowa. Następne dni ugruntowały tę wyjątkowość. Okazało się, że to zupełna wariatka, stała pacjentka zakładu psychiatrycznego, nieuleczalnie chora. Moje szczęście okazało się moim pechem. Ale to była zupełnie wyjątkowa dziewczyna, tak w pierwszych trzech dniach.

Piłem wódkę. Piłem piwo. Piłem wino, owocowe i gronowe, deserowe i wytrawne, białe, czerwone i ze spirytusem. Piłem spirytus. Piłem wodę kolońską, wodę brzoową, bimber, denaturat i salicyl. Piłem jeszcze inne świństwa, które albo są produkowane na bazie alkoholu, albo działają jak alkohol. Piłem krople walerianowe, miętowe i nasercowe. Zażywałem psychotropy.

Nie znałem nigdy żadnych narkomanów i może z tego powodu nigdy się nie narkotyzowałem. Dlatego nie wpadłem w nałóg. Nigdy nie miałem w ręku żadnych narkotyków, ani tych klasycznych, ani rodzimych kompotów. Ale niewykluczone, że będę miał.

Nie jestem alkoholikiem, chyba. Piję w towarzystwie kilka kieliszków. Wygląda to mniej więcej tak. W bardzo wytwornym towarzystwie wypijam jeden kieliszek maksimum, żeby się nie zbłaźnić. W trochę gorszym towarzystwie dwa. Im niżej, tym ilość wypitych kieliszków zazwyczaj się zwiększa. Z przyjaciółmi upijam się do oporu, jeśli owi przyjaciele akurat piją. Samotnie wypijam ćwiartkę wódki albo butelkę wina i kładę się spać.

Wierzę w Boga. Wierzę, że wszyscy inni bogowie wszystkich innych religii to ten sam Bóg, jeden i jedyny. Obrządki rytualne się nie liczą. Jest jeden Bóg.

Wierzę w życie pozagrobowe. Wierzę w śmierć, ufam jej. Po śmierci zajmie się nami Bóg i poprowadzi nas dalej, w to wierzyć jest najlepiej i najwygodniej, dobrze to wykalkulowałem! Dlaczego miałbym utrudniać sobie życie i pozbawiać się Boga, mojego przyjaciela i opiekuna?

Wymieniam imiona i nazwiska kobiet, z którymi spałem. Wróc. Wymieniam tylko ich imiona: Barbara, Lucyna, Stanisława, Maria, Marta, Bożena, Ewa, Elżbieta, Krystyna. Ach, to daremna wyliczanka, niektóre imiona jako popularne, powtarzają się kilkakrotnie, inne zapomniałem.

Całe życie nienawidziłem fizycznego wysiłku i czynnego uprawiania sportu.

Studiowałem, bo trudno określić ten proces zwyczajnym czytaniem, dzieła Faulknera, Joyce'a, Szekspira, Kafki, Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego i Leonida Breżniewa. Studiowałem twórczość Mao Tse - tunga. Dobrnąłem do piątej strony "Trędowatej" Heleny Mniszek. Przy moim posłaniu zawsze leży Biblia, także w podróży, przez co wcale nie stałem się lepszy, mówią ludzie.

Wyrażałem się o niektórych moich znajomych: ten głupi kutas, grafoman, zero, albo po prostu - chuj.

W sposób podobny określałem czasami swoje znajome, bliższe i dalsze, a także kobiety zupełnie obce. Najczęściej – ta kurwa.

Nigdy nie używałem prezerwatyw.

Widziałem kopulujące koty, psy, króliki i byki. Widziałem kopulujących ludzi. Widziałem w poznańskim zoo onanizujące się małpy. Pewnego razu szedłem ulicą i do dziewczyny zupełnie nieznajomej, wyglądającej przez okno wysokiego parteru, puściłem oko. Ona wykrzywiła twarz i powiedziała: "Wariat!"

Żona mojego kolegi uderzyła mnie kiedyś w twarz. Momentalnie jej oddałem.

Kiedyś, po nieprzespanej nocy, zwlokłem się z tapczanu, zrobiłem sobie mocnej herbaty, zapaliłem papierosa i zacząłem palić w piecu książkami z mojej biblioteczki. Spaliłem wtedy, pamiętam, Biblię wydaną w Towarzystwie Biblijnym Polsko - Brytyjskim, kilka numerów "Poezji", "Twórczości" i "Miesięcznika Literackiego", jakieś komunizujące broszury, także swoje wycinki prasowe. Potem położyłem się i zaraz zasnąłem. Kiedy obudziłem się po paru godzinach głębokiego i smacznego snu, wzrok mój padł przede wszystkim na pustą szafę biblioteczną. Z pożaru ocalało jedynie przedwojenne wydanie Nowego Testamentu w tłumaczeniu Jakuba Wujka. Wcześniej także kilkakrotnie paliłem książki, które mnie w jakiś sposób denerwowały. Myślę, że na temat powyższego akapitu miałby wiele do powiedzenia niejeden psychoanalityk. Nie tylko on zresztą.

Siedziałem w więzieniu w jednej celi z lekarzem psychiatrą. Prawie się do siebie nie odzywaliśmy. Po wyjściu otrzymałem od niego kartkę z życzeniami wielkanocnymi. Wyrzuciłem ją do kosza na śmieci. Siedziałem w więzieniu za niewinność, jak prawie wszyscy.

Uciekając przed konduktorem przejechałem, stojąc na buforach wagonu, odcinek trasy między Zakopanem a Poroninem, w nocy. Chyba tylko dlatego, że byłem wtedy pijany, nie spadłem pomiędzy wagony na szyny i nie zabiłem się.

Kłamałem w życiu bardzo często. Robię to do dzisiaj.

Jako piętnastoletni chłopak wyratowałem z rzeki tonącego, pijanego faceta. Po doholowaniu go do brzegu gość podczołgał się do swojego ubrania leżącego w trawie i z kieszeni marynarki wyciągnął butelkę wódki. Pił i przeklinał. Mnie nie poczęstował.

Zwędziłem parę różnych rzeczy paru różnym ludziom i instytucjom.

Pyskowałem do rodziców, księży i nauczycieli. Pyskowałem do wydawców i redaktorów, do rodzeństwa. Pyskowałem do wszystkich. Wiele razy.

Kiedyś przysłuchiwałem się dyskusji młodych pisarzy. W pewnym momencie któryś z nich powiedział: "Władysław Machejek na pewno nie jest Balzakiem"!

Poparłem tego dyskutanta (Władysław Machejek tworzy nadal).

Kilku moich znajomych z dawnych lat nauczyło mnie pewnej korzystnej sztuczki. Wchodzi się do podłej knajpy o ósmej rano bez grosza w kieszeni, za to z cholernym kacem, a wychodzi z niej jako ostatni klient kompletnie pijany, z pewną sumą w kieszeni na jutrzejszego kaca.

Byłem świadkiem następującej sceny w sklepie mięsny. Dwie licealistki kupowały parówki. "Poproszę dwie" - powiedziała jedna z nich do sklepowej. "Weź trzy - wtrąciła wtedy ta druga. - Jedną zjemy".

Na dworcu kolejowym w Warszawie podszedł do mnie kompletnie pijany łachudra i poprosił o dwadzieścia złotych, ponieważ zgubił portfel i nie miał za co dojechać do domu. Nie dałem mu wtedy tej forszy tylko dlatego, że sam byłem wtedy rzeczywiście bez grosza, od kilkunastu dni na włączędze. Odszedł wcale nie zrażony i mile uśmiechnięty. Szczerze żałowałem wtedy, że nie miałem tej dwudziestki.

Opracowałem idealny plan napadu na oddział Narodowego Banku Polskiego. Nie zrealizowałem tego planu, stchórzyłem.

Na egzaminie wstępnym do Państwowej Szkoły Teatralnej w Krakowie śpiewałem piosenkę:

*Ta Dorotka, ta malusia, ta malusia,  
tańcowała dokolusia, dokolusia,  
tańcowała z ranną rosą, z ranną rosą,  
i tupać nóżką bosą, nóżką bosą...*

Za jej wykonanie otrzymałem ocenę bardzo dobrą. Niestety, oblałem ze wszystkich pozostałych przedmiotów.

Pobiłem kilku facetów. Sam też dostałem nieraz, od innych.

Wymierzyłem kopniaka pewnej damie, chyba nawet dwóm damom. Albo trzem, prawdę mówiąc.

Raz poszedłem do swojego księdza proboszcza i zażądałem, aby udowodnił mi, że Bóg istnieje. Nie umiał tego zrobić, za to poczęstował mnie koniakiem.

Szargałem narodowe i ogólnoludzkie świętości. Szydziłem z uznanych autorytetów. Śmiałem się z narodowych bohaterów.

Widziałem, jak pijany człowiek wpadł prosto pod autobus pełen ludzi. Później leżał na asfalcie w kałuży krwi. Sądziłem, że nie żyje, nie ja jeden zresztą. Ale po paru minutach, korzystając z ogólnego zamieszania, pijak poderwał się na równe nogi i uciekł w nieznanym kierunku. To był jeden z lepszych dowcipów sytuacyjnych, jaki widziałem.

Pałęm pety zbierane na korytarzach posterunków milicji, korytarzach więziennych, na ulicy i w różnych innych miejscach.

Tydzień bawiłem się małym kotkiem, potem zupełnie bez powodu utopiłem go w kanale ściekowym.

Jednego z moich psów lubiłem bardziej niż wielu moich bliskich.

Kiedyś jakiś facet rzucił się na mnie z nożem, w knajpie. Wyjąłem nóż z ręki temu pijakowi i postawiłem mu piwo.

Ktoś inny później za coś innego wsadził tego faceta do więzienia.

Pewnemu młodemu, prawie czterdziestoletniemu poecie, który rozpoczął ze mną natrętną, ożywioną i jednostronną korespondencję, poradziłem, aby udał się do psychiatry. Nie wiem, czy skorzystał z tej rady. W każdym razie listów do mnie już nie pisze.

Nie raz i nie dwa miałem piekielną chęć zabić człowieka. Zabić wielu ludzi.

Popełniłem jeszcze wiele innych grzechów.

Myślę dziś, że kiedy będę bardzo sławny, bardzo bogaty, to wtedy na pewno będę zawsze bardzo miły i bardzo grzeczny.

Mam zamiar napisać kiedyś swoją prawdziwą autobiografię.